



BRUNO SCHULZ

Ulica krokodyli



BRUNO SCHULZ
SKLEPY CYNAMONOWE

Ulica krokodyli

Mój ojciec przechowywał w dolnej szufladzie swego głębokiego biurka starą i piękną mapę naszego miasta.

Był to cały wolumen in folio¹ pergaminowych kart, które, pierwotnie spojone skrawkami płótna, tworzyły ogromną mapę ścienną w kształcie panoramy z ptasiej perspektywy.

Zawieszona na ścianie, zajmowała niemal przestrzeń całego pokoju i otwierała daleki widok na całą dolinę Tyśmienicy², wijącej się falisto bladozłotą wstęgą, na całe pojezierze szeroko rozlanych moczarów i stawów, na pofałdo-

¹*wolumen in folio* a. *foliat* — gruba książka dużego formatu. [przypis edytorski]

²*Tyśmienica* — dopływ Wieprza. [przypis edytorski]

wane przedgórze, ciągnące się ku południowi, naprzód z rzadka, potem coraz tłumniejszymi pasmami, szachownicą okrągławych wzgórz, coraz mniejszych i coraz bledszych, w miarę jak odchodziły ku złotawej i dymnej mgle horyzontu. Z tej zwiędłej dali peryferii wynurzało się miasto i rosło ku przodowi, naprzód jeszcze w nie zróżnicowanych kompleksach, w zwartych blokach i masach domów, poprzecinanych parowami ulic, by bliżej jeszcze wyodrębnić się w pojedyncze kamienice, sztychowane z ostrą wyrazistością widoków oglądanych przez lunetę. Na tych bliższych planach wydo był sztycharz cały zawikłany i wieloraki zgiełk ulic i zaułków, ostrą wyrazistość gzymsów, architrawów³ i pilastrów⁴, świecących w późnym i ciemnym złocie pochmurnego popołudnia, które pogrąża wszystkie załomy i framugi w głębokiej sepia⁵ cienia. Bryły i pryzmy tego cienia wcinały się, jak plastry ciemnego miodu, w wą-

³*architraw* — spoczywająca bezpośrednio na głowicy kolumny dolna część belkowania. [przypis edytorski]

⁴*pilaster* — płaski, ozdobny filar wbudowany w ścianę. [przypis edytorski]

⁵*sepia* — barwnik ciemnobrunatny. [przypis edytorski]

wozy ulic, zatapiały w swej ciepłej, soczystej masie tu całą połowę ulicy, tam wyłom między domami, dramatyzowały i orkiestrowały ponurą romantyką cieni tę wieloraką polifonię⁶ architektoniczną.

Na tym planie, wykonanym w stylu barokowych prospektów, okolica ulicy Krokodylej świeciła pustą bielą, jaką na kartach geograficznych zwykło się oznaczać okolice podbiegunowe, krainy niezbadane i niepewnej egzystencji. Tylko linie kilku ulic wrysowane tam były czarnymi kreskami i opatrzone nazwami w prostym, nieozdobnym piśmie, w odróżnieniu od szlachetnej antykwy⁷ innych napisów. Widocznie kartograf wzbraniał się uznać przynależność tej dzielnicy do zespołu miasta i zastrzeżenie swe wyraził w tym odrębnym i postępującym⁸ wykonaniu.

Aby zrozumieć tę rezerwę, musimy już teraz zwrócić uwagę na dwuznaczny i wątpliwy

⁶*polifonia* — tu: wielość stylów. [przypis edytorski]

⁷*antykwia* — krój pisma. [przypis edytorski]

⁸*postępujący* — lekceważący. [przypis edytorski]

charakter tej dzielnicy, tak bardzo odbiegający od zasadniczego tonu całego miasta.

Był to dystrykt przemysłowo-handlowy z podkreślonym jaskrawo charakterem trzeźwej użytkowości. Duch czasu, mechanizm ekonomii nie oszczędził i naszego miasta i zapuścił chciwe korzenie na skrawku jego peryferii, gdzie rozwinął się w pasożytniczą dzielnicę.

Kiedy w starym mieście panował wciąż jeszcze nocny, pokątny handel, pełen solennej ceremonialności, w tej nowej dzielnicy rozwinęły się od razu nowoczesne, trzeźwe formy komercjalizmu. Pseudoamerykanizm, zaszczerpiony na starym, zmurszałym gruncie miasta, wystrzelił tu bujną, lecz pustą i bezbarwną wegetacją tandetnej, lichej pretensjonalności. Widziało się tam tanie, marnie budowane kamienice o karykaturalnych fasadach, oblepione monstrualnymi sztukateriami z popękanego gipsu. Stare, krzywe domki podmiejskie otrzymały szybko sklecone portale⁹, które dopiero bliższe przyjrzenie demaskowało jako nędzne imitacje wiel-

⁹*portal* — wejście. [przypis edytorski]

komiejskich urzędzeń. Wadliwe, mętne i brudne szyby, łamiące w falistych refleksach ciemne odbicie ulicy, nie heblowane drzewo portali, szara atmosfera jałowych tych wnętrzy, osiadających pajęczyną i kłakami kurzu na wysokich półkach i wzdłuż odartych i kruszących się ścian, wyciskały tu, na sklepach, piętno dzikiego Klondike'u¹⁰. Tak ciągnęły się jeden za drugim magazyny krawców, konfekcje, składy porcelany, drogerie, zakłady fryzjerskie. Szare ich, wielkie szyby wystawowe nosiły ukośnie lub w półkolu biegnące napisy ze złożonych plastycznie liter: *CONFISERIE*, *MANICURE*, *KING OF ENGLAND*.

Rdzenni mieszkańcy miasta trzymali się z dala od tej okolicy, zamieszkiwanej przez szumowiny, przez gmin, przez kreatury bez charakteru, bez gęstości, przez istną lichotę moralną, tę tandetną odmianę człowieka, która rodzi się w takich efemerycznych¹¹ środowiskach. Ale w dniach upadku, w godzinach niskiej pokusy

¹⁰*Klondike* — kanadyjska rzeka w Jukonie, jeden z głównych ośrodków amerykańskiej gorączki złota. [przypis edytorski]

¹¹*efemeryczny* — krótkotrwały, ulotny. [przypis edytorski]

zdarzało się, że ten lub ów z mieszkańców miasta zabłąkiwał się na wpuł przypadkiem w tę wątpliwą dzielnicę. Najlepsi nie byli czasem wolni od pokusy dobrowolnej degradacji, zniwelowania granic i hierarchii, pławienia się w tym płytkim błocie wspólnoty, łatwej intymności, brudnego zmieszania. Dzielnicą ta była eldorem¹² takich dezertarów moralnych, takich zbiegów spod sztandaru godności własnej. Wszystko zdawało się tam podejrzané i dwuznaczne, wszystko zapraszało sekretnym mrugnięciem, cynicznie artykułowanym gestem, wyraźnie przy-mrużonym perskim okiem — do nieczystych nadziei, wszystko wyzwalało z pęt niską naturę.

Mało kto, nie uprzedzony, spostrzegał dziwną osobliwość tej dzielnicy: brak barw, jak gdyby w tym tandetnym, w pośpiechu wyrosłym mieście nie można było sobie pozwolić na luksus kolorów. Wszystko tam było szare jak na jednobarwnych fotografiach, jak w ilustrowa-

¹²*eldorado* — legendarny kraj, w którym złoto było tak powszechne, że tubylcy nie uważali go za cenne. [przypis edytorski]

nych prospektach. Podobieństwo to wychodziło poza zwykłą metaforę, gdyż chwilami, wędrując po tej części miasta, miało się w istocie wrażenie, że wertuje się w jakimś prospekcie, w nudnych rubrykach komercyjnych ogłoszeń, wśród których zagnieżdżyły się pasożytniczo podejrzane anonse, drażliwe notatki, wątpliwe ilustracje; i wędrówki te były równie jałowe i bez rezultatu jak ekscytacje fantazji, pędzonej przez szpalty i kolumny pornograficznych druków.

Wchodziło się do jakiegoś krawca, żeby zamówić ubranie — ubranie o taniej elegancji, tak charakterystycznej dla tej dzielnicy. Lokal był wielki i pusty, bardzo wysoki i bezbarwny. Ogromne wielopiętrowe półki wznoszą się jedne nad drugimi w nieokreśloną wysokość tej hali. Kondygnacje pustych półek wyprowadzają wzrok w górę aż pod sufit, który może być niebem — lichym, bezbarwnym, odrapanym niebem tej dzielnicy. Natomiast dalsze magazyny, które widać przez otwarte drzwi, pełne są aż pod sufit pudeł i kartonów, piętrzących się ogromną kartoteką, która rozpada się

w górze, pod zagmatwanym niebem strychu w kubaturę¹³ pustki, w jałowy budulec nicości. Przez wielkie szare okna, kratkowane wielokrotnie jak arkusze papieru kancelaryjnego, nie wchodzi światło, gdyż przestrzeń sklepu już napełniona jest, jak wodą, indyferentną¹⁴ szarą poświatą, która nie rzuca cienia i nie akcentuje niczego. Wnet nawija się jakiś smukły młodzieniec, zadziwiająco usłużny, giętki i nieodporny, ażeby dogodzić naszym życzeniom i zalać nas tanią i łatwą wymową subiekta¹⁵. Ale gdy, gadając, rozwija ogromne postawy¹⁶ sukna, przymierza, fałduje i drapuje nie kończącą się strugę materiału, przepływającą przez jego ręce, formując z jego fal iluzoryczne surduty i spodnie, cała ta manipulacja wydaje się czymś nieistotnym, pozorem, komedią, ironicznie zarzuconą zasłoną na prawdziwy sens sprawy.

Panienki sklepowe, smukłe i czarne, każda z jakąś skazą piękności (charakterystyczną

¹³*kubatura* — pojemność. [przypis edytorski]

¹⁴*indyferentny* — bierny. [przypis edytorski]

¹⁵*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

¹⁶*postaw* (daw.) — jednostka miary stosowana do tkanin. [przypis edytorski]

dla tej dzielnicy wybrakowanych artykułów), wchodzą i wychodzą, stają w drzwiach magazynów, sondując oczyma, czy rzecz wiadoma (powierzona doświadczonym rękom subiekta) dojrze do punktu właściwego. Subiekt przy-
mila się i kryguje¹⁷ i chwilami robi wrażenie transwestyty¹⁸. Chciałoby się go ująć pod miękko zarysowaną brodę lub uszczypnąć w upudrowany, blady policzek, gdy z porozumiewawczym półspojrzeniem dyskretnie zwraca uwagę na markę ochronną towaru, markę o przejrzystej symbolice.

Z wolna sprawa wyboru ubrania schodzi na plan dalszy. Ten miękki do efeminacji¹⁹ i zepsuty młodzieniec, pełen zrozumienia dla najintymniejszych poruszeń klienta, przesuwając teraz przed oczyma osobliwe marki ochronne, całą bibliotekę znaków ochronnych, gabinet kolekcjonerski wyrafinowanego zbieracza. Poka-

¹⁷*krygować się* — wdziękować się, zachowywać się w sposób przesadnie skromny. [przypis edytorski]

¹⁸*transwestyta* — osoba za pomocą stroju wyrażająca identyfikację z płcią przeciwną. [przypis edytorski]

¹⁹*efeminacja* (z łac.) — zniewieścienie. [przypis edytorski]

zywało się wówczas, że magazyn konfekcji był tylko fasadą, za którą kryła się antykwarnia, zbiór wysoce dwuznacznych wydawnictw i druków prywatnych. Usłużny subiekt otwiera dalsze składy, wypełnione aż po sufit książkami, rycinami, fotografiami. Te winiety²⁰, te ryciny przechodzą stokrotnie najśmielsze nasze marzenia. Takich kulminacji zepsucia, takich wymyślności wyuzdania nie przeczuwaliśmy nigdy.

Panienki sklepowe przesuwają się coraz częściej pomiędzy szeregami książek, szare i papierowe jak ryciny, ale pełne pigmentu w zepsutych twarzach, ciemnego pigmentu brunetek o lśniącej i tłustej czarności, która, zaczajona w oczach, z nagłą wybiegła z nich zygzakiem lśniącego karakoniego²¹ biegu. Ale i w spalonych rumieńcach, w pikantnych stygmatach pieprzyków, we wstydliwych znamionach ciemnego puszkę zdradzała się rasa zapiekłej, czar-

²⁰*winieta* — ozdobna kompozycja graficzna rozdzielająca poszczególne części książki lub czasopisma (rozdziały, artykuły, czasem strony), często umieszczana też na stronie tytułowej lub okładce. [przypis edytorski]

²¹*karakoni* — karaluszy. [przypis edytorski]

nej krwi. Ten barwik o nazbyt intensywnej mocy, ta mokka²² gęsta i aromatyczna zdawała się plamić książki, które brały one do oliwkowej dłoni, ich dotknięcia zdawały się je farbować i zostawiać w powietrzu ciemny deszcz piegów, smugę tabaki, jak purchawka²³ o podniecającej, animalnej²⁴ woni. Tymczasem powszechna rozwiązłość zrzucała coraz bardziej hamulce pozorów. Subiekt, wyczerpawszy swą natarczywą aktywność, przechodził powoli do kobiecej bierności. Leży teraz na jednej z wielu kanap, porozstawianych wśród rejonów książek, w jedwabnej piżamie, odsłaniającej kobiecej dekolt. Panienki demonstrują, jedna przed drugą, figury i pozycje rycin okładkowych, inne zasypiają już w prowizorycznych pościeliach. Nacisk na klienta rozluźniał się. Wypuszczano go z kręgu natarczywego zainteresowania, pozostawiono sobie samemu. Subiektki, zaję-

²²*mokka* — kawa. [przypis edytorski]

²³*purchawka* — grzyb o kulistym owocniku wypełnionym zarodnikami w postaci ciemnego proszku, rozpylającego się po przebicciu owocnika. [przypis edytorski]

²⁴*animalny* — zwierzęcy. [przypis edytorski]

te rozmową, nie zwracały nań więcej uwagi. Odwrócone do niego tyłem lub bokiem, przystawały w aroganckim kontrapoście²⁵, przestępowały z nogi na nogę, grając kokieteryjnym obuwciem, przepuszczały z góry na dół po smukłym ciele wężową grę członków, atakując nią spoza swej niedbałej nieodpowiedzialności podnieconego widza, którego ignorowały. Tak cofano się, wsuwano w głąb z wyrachowaniem, otwierając wolną przestrzeń dla aktywności gościa. Skorzystajmy z tego momentu nieuwagi, ażeby wymknąć się nieprzewidzianym konsekwencjom tej niewinnej wizyty i wydostać się na ulicę.

Nikt nas nie zatrzymuje. Przez korytarze książek, pomiędzy długimi regałami czasopism i druków wydostajemy się ze sklepu i oto jesteśmy w tym miejscu ulicy Krokodylej, gdzie z wyniesionego jej punktu widać niemal całą długość tego szerokiego traktu aż do dalekich, nie wykończonych zabudowań dwor-

²⁵*kontrapost* — pozycja ciała, w której jego ciężar opiera się głównie na jednej nodze. [przypis edytorski]

ca kolejowego. Jest to szary dzień, jak zawsze w tej okolicy, i cała sceneria wydaje się chwila-
mi fotografią z ilustrowanej gazety, tak szare,
tak płaskie są domy, ludzie i pojazdy. Ta rze-
czywistość jest cienka jak papier i wszystkimi
szparami zdradza swą imitatywność²⁶. Chwila-
mi ma się wrażenie, że tylko na małym skraw-
ku przed nami układa się wszystko przykładnie
w ten pointowany obraz bulwaru wielkomię-
skiego, gdy tymczasem już na bokach rozwią-
zuje się i rozprzęga ta zaimprovizowana ma-
skarada i, niezdolna wytrwać w swej roli, roz-
pada się w gips i pakuły, w rupieciarnię jakie-
goś ogromnego, pustego teatru. Napięcie po-
zy, sztuczna powaga maski, ironiczny patos drży
na tym naskórku. Ale dalecy jesteśmy od chęci
demaskowania widowiska. Wbrew lepszej wie-
dzy czujemy się wciągnięci w tandetny czar dziel-
nicy. Zresztą nie brak w obrazie miasta i pew-
nych cech autoparodii. Rzędy małych, parte-
rowych domków podmiejskich zmieniają się
z wielopiętrowymi kamienicami, które, zbu-

²⁶imitatywność — naśladownictwo. [przypis edytorski]

dowane jak z kartonu, są konglomeratem²⁷ szyl-
dów, ślepych okien biurowych, szklistoszarych
wystaw, reklam i numerów. Pod domami pły-
nie rzeka tłumu. Ulica jest szeroka jak bulwar
wielkowiejski, ale jezdnia, jak place wiejskie,
zrobiona jest z ubitej gliny, pełna wybojów,
kałuży i trawy. Ruch uliczny dzielnicy słu-
ży do porównań w tym mieście, mieszkańcy
mówią o nim z dumą i porozumiewawczym
błyskiem w oku. Szary, bezosobisty ten tłum
jest nader przejęty swą rolą i pełen gorliwości
w demonstrowaniu wielkowiejskiego pozoru.
Wszelako, mimo zaaferowania i interesowno-
ści, ma się wrażenie błędnej, monotonnej, bez-
celowej wędrówki, jakiegoś sennego korowodu
marionetek. Atmosfera dziwnej błahości prze-
nika tę całą scenerię. Tłum płynie monoton-
nie i, rzecz dziwna, widzi się go zawsze jakby
niewyraźnie, figury przepływają w splątanym,
łagodnym zgiełku, nie dochodząc do zupełnej
wyrazistości. Czasem tylko wyławiamy z tego
gwaru wielu głów jakieś ciemne, żywe spojrze-

²⁷*konglomerat* — zespół różnorodnych elementów. [przypis edytorski]

nie, jakiś czarny melonik nasunięty głęboko na głowę, jakieś pół twarzy rozdarte uśmiechem, z ustami, które właśnie coś powiedziały, jakąś nogę wysuniętą w kroku i tak już zastygają na zawsze.

Osobliwością dzielnicy są dorożki bez woźniców, biegnące samopas po ulicach. Nie jakoby nie było tu dorożkarzy, ale wmieszani w tłum i zajęci tysiącem spraw, nie troszczą się o swe dorożki. W tej dzielnicy pozoru i pustego gestu nie przywiązuje się zbytnej wagi do ścisłego celu jazdy i pasażerowie powierzają się tym błędnym pojazdom z lekkomyślnością, która cechuje tu wszystko. Nieraz można ich widzieć na niebezpiecznych zakrętach, wychylonych daleko z połamanej budy, jak z lejcami w dłoniach przeprowadzają z natężeniem trudny manewr wymijania.

Mamy w tej dzielnicy także tramwaje. Ambicja rajców miejskich święci tu najwyższy swój triumf. Ale pozałowania godny jest widok tych

wozów, zrobionych z *papier-mâché*²⁸, o ścianach powyginanych i zmiętych od wieloletniego użytku. Często brak im zupełnie przedniej ściany, tak że widzieć można w przejeździe pasażerów, siedzących sztywnie i zachowujących się z wielką godnością. Tramwaje te popychane są przez tragarzy miejskich. Najdziwniejszą atoli rzeczą jest komunikacja kolejowa na ulicy Krokodylej.

Czasami, w nieregularnych porach dnia, gdzieś ku końcowi tygodnia, można zauważyć tłum ludzi oczekujący na zakręcie ulicy na pociąg. Nie jest się nigdy pewnym, czy przyjedzie i gdzie stanie, i zdarza się często, że ludzie ustawiają się w dwóch różnych punktach, nie mogąc uzgodnić swych poglądów na miejsce przystanku. Czekają długo i stoją czarnym milczącym tłumem wzdłuż ledwo zarysowanych śladów toru, z twarzami w profilu, jak szereg białych masek z papieru, wyciętych w fantastyczną linię zapatrzenia. I wreszcie niespodzianie zajezdza, już wje-

²⁸*papier-mâché* — masa modelarska na bazie rozdrobnionego papieru i substancji wiążącej, zwykle kleju lub gipsu. [przypis edytorski]

chał z bocznej uliczki, skąd go nie oczekiwano, niski jak wąż, miniaturowy, z małą, sapiącą, krępą lokomotywą. Wjechał w ten czarny szpaler i ulica staje się ciemna od tego ciągu wozów, siejących pył węglowy. Ciemne sapanie parowozu i powiew dziwnej powagi, pełnej smutku, tłumiony pośpiech i zdenerwowanie zamieniają ulicę na chwilę w halę dworca kolejowego w szybko zapadającym zmierzchu zimowym.

Plagą naszego miasta jest aźiotaż²⁹ biletów kolejowych i przekupstwo.

W ostatniej chwili, gdy pociąg już stoi na stacji, toczą się w nerwowym pośpiechu pertraktacje z przekupnymi urzędnikami linii żelaznej. Zanim te negocjacje się skończą, pociąg rusza, odprowadzany przez wolno sunący, rozczarowany tłum, który odprowadza go daleko, ażeby się wreszcie rozproszyć.

Ulica, zacieśniona na chwilę do tego zaimprovizowanego dworca, pełna zmierzchu i tchnie-

²⁹*aźiotaż* — spekulacja na giełdzie opierająca się na sztucznym podwyższeniu lub zaniżeniu cen papierów wartościowych. [przypis edytorski]

nia dalekich dróg — rozwidnia się znowu, rozszerza i przepuszcza znów swym korytem beztroski monotonny tłum spacerowiczów, który wędruje wśród gwaru rozmów wzdłuż wystaw sklepowych, tych brudnych, szarych czworoboków, pełnych tandetnych towarów, wielkich woskowych manekinów i lalek fryzjerskich.

Wyzywająco ubrane, w długich koronkowych sukniach przechodzą prostytutki. Mogą to być zresztą żony fryzjerów lub kapelmistrzów³⁰ kawiarnianych. Idą drapieżnym, posuwistym krokiem i mają w niedobrych, zepsutych twarzach nieznaczną skazę, która je przekreśla: zezują czarnym, krzywym zezem lub mają usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa.

Mieszkańcy miasta dumni są z tego odoru zepsucia, którym tchnie ulica Krokodyli. Nie mamy potrzeby niczego sobie odmawiać — myśłą z dumą — stać nas i na przyzwoitą wielkomijską rozpustę. Twierdzą oni, że każda kobieta w tej dzielnicy jest kokotą³¹. W istocie

³⁰kapelmistrz — kierownik orkiestry. [przypis edytorski]

³¹kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

wystarczy zwrócić uwagę na którąś — a natchmiast spotyka się to uporczywe, lepkie, łaskoczące spojrzenie, które nas zmraża rozkoszną pewnością. Nawet dziewczęta szkolne noszą tu w pewien charakterystyczny sposób kokardy, stawiają swoistą manierą smukłe nogi i mają tę nieczystą skazę w spojrzeniu, w której leży preformowane przyszłe zepsucie.

A jednak — a jednak czy mamy zdradzić ostatnią tajemnicę tej dzielnicy, troskliwie ukrywany sekret ulicy Krokodyli?

Kilkakrotnie w trakcie naszego sprawozdania stawialiśmy pewne znaki ostrzegawcze, dawaliśmy w delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uważny czytelnik nie będzie nieprzygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówiliśmy o imitatywnym i iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale słowa te mają zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określić połowiczny i niezdecydowany charakter jej rzeczywistości.

Język nasz nie posiada określeń, które by dozowały niejako stopień realności, definiowa-

ły jej gęstość. Powiedzmy bez ogródek: fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie dobiega do swego *definitivum*³², wszystkie ruchy rozpoczęte zawisają w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpują się przedwcześnie i nie mogą przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliśmy już zauważyć wielką bujność i rozrzutność — w intencjach, w projektach i antycypacjach³³, która cechuje tę dzielnicę. Cała ona nie jest niczym innym, jak fermentacją pragnień przedwcześnie wybujałą i dlatego bezsilną i pustą. W atmosferze nadmiernej łatwości kiełkuje tutaj każda zachcianka, przelotne napięcie puchnie i rośnie w pustą, wydętą narośl, wystrzela szara i lekka wegetacja puszystych chwastów, bezbarwnych włośchatych maków, zrobiona z nieważkiej tkanki majaku i haszyszu. Nad całą dzielnicą unosi się leniwy i rozwiązły fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydają się niekiedy dreszczem na jej gorączkującym ciele, gęsią

³²*definitivum* (łac.) — tu: cel, miejsce przeznaczenia. [przypis edytorski]

³³*antycypacja* — przewidywanie. [przypis edytorski]

skórką na jej febrycznych marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwościami, wstrząśnięci bliskością spełnienia, pobladli i bezwładni rozkosznym struchleniem ziszczenia. Lecz na tym się też kończy.

Przekroczywszy pewien punkt napięcia, przypływ zatrzymuje się i cofa, atmosfera gaśnie i przekwita, możliwości więdną i rozpadają się w nicość, oszalałe, szare macki ekscytacji rozsypują się w popiół.

Będziemy wiecznie żałowali, żeśmy wtedy wyszli na chwilę z magazynu konfekcji podejrzanej konduity³⁴. Nigdy nie trafimy już doń z powrotem. Będziemy bładzili od szyldu do szyldu i mylili się setki razy. Zwiedzimy dziesiątki magazynów, trafimy do całkiem podobnych, będziemy wędrowali przez szpalery książek, wertowali czasopisma i druki, konferowali długo i zawile z panienkami o nadmiernym pigmentcie i skażonej piękności, które nie potrafią zrozumieć naszych życzeń.

³⁴*konduita* — sposób prowadzenia się. [przypis edytorski]

Będziemy się wikłali w nieporozumienia, aż cała nasza gorączka i podniecenie ulotni się w niepotrzebnym wysiłku, w straconej na próżno gonitwie.

Nasze nadzieje były nieporozumieniem, dwuznaczny wygląd lokalu i służby — pozorem, konfekcja była prawdziwą konfekcją, a subiekt nie miał żadnych ukrytych intencji. Świat kobiety ulicy Krokodylej odznacza się całkiem miernym zepsuciem, zagłuszonym grubymi warstwami przesądów moralnych i banalnych pospolicności. W tym mieście taniego materiału ludzkiego brak także wybujałości instynktu, brak niezwykłych i ciemnych namiętności.

Ulica Krokodyli była koncesją naszego miasta na rzecz nowoczesności i zepsucia wielkomijskiego. Widocznie nie stać nas było na nic innego, jak na papierową imitację, jak na fotomontaż złożony z wycinków zleżałych, zesłorocznych gazet.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sklepy-cynamonowe-ulica-krokodyli>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okladka na podstawie: Brockhaus & Efron Encyclopedic Dictionary, Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.